

Czytanie źródeł. Krzysztofa Fedorowicza „Imiona własne” – czyli dekodowanie Trześniówka

Czesław Markiewicz

Czytam na głos z *Imion własnych*: „W sierpniu osady położone na wschód od Łagowa to kępy zieleni, oazy. Dachy, czerwone lub szare, przykryte dachówką lub papą, łatwo pokonuje ostre światło, zlewając budynki w prawie jednolitą bryłę ze stepem, jaki rozciąga się za zabudowaniami. [...] Po lewej głęboka dolina, a już kilka kilometrów od drogi wysokie wzgórza, zielonożółte i bardzo jasne, srebrne, na niebie wąskie pasma chmur. Zielen gęstnieje jak chłód i wilgoć. Krzyk żurawi, klangor żurawi, i ptaków ogromne sylwetki na polach, albo nad polami, wywołują niepokój, przywołują pamięć”.

Myślę sobie, któż tego nie widział, nie słyszał? Ale czy zobaczył? Z jakiej „pamięci” wywodzi Fedorowicz ów niepokój? I szybko odkrywam z łatwością, że dopiero słowa, te słowa z *Imion własnych* nadają wszystkiemu sens, tak żebym i ja zobaczył, usłyszał, dotknął, posmakował. Tworzy się mit, legenda.

Natychmiast sięgam do *Głowy z obsydianu* - przeczuwam, że tam znajdę ślady „pamięci”, o którą potyka się także Fedorowicz. Czytam: „Dlaczego Indie przywodzą mi na myśl piękną

trędowatą dziewczynę, która u stóp rybiokiej bogini ofiarowała mi kwiaty, dwoje czarnych kociąt, które w Nepalu chciał mi podarować tybetański dzieciak, miedziane gwoździe wypolerowane przez nagie stopy w pyle świętych progów, prześwitujące jak lampy we mgle?”. Czy Andrzej Malraux widział to w jednym miejscu, w tej samej chwili? Czy w ogóle to widział? I zadaję pytanie: Czy Krzysztof Fedorowicz ujrzał naprawdę wyłaniającą się zza horyzontu Stronę Trześniówka? I co by było, gdyby nie zanotował, jak Malraux, nie zamienił w słowa swoich przeczuć, domysłów i zachwyceń? Kto dowiedziałby się, że te wszystkie miejsca mają dusze – z twarzą nietutejszej dziewczyny, głosem żurawi, oczami kociąt...

Ale najpierw zdanie z *Głowy z obsydianu* wywołuje we mnie dreszcze. Podobne prądy pojawiają się w łędźwiach kiedy przewracam kartki *Imion własnych*. Czuję smak archetypu, dotyk toposu, zmysłowe reakcje, które mogą nazwać tylko w jeden sposób: uruchamiając wyobraźnię, korzystając z uniwersalnych narzędzi literatury. Odbywam własną podróż. Stoję na bastionie zamku w Siedlisku, patrzę

na zakole Odry – to jeden z cudów mojego świata, mojego Muzeum Wyobraźni – podpowiada Malraux. A Trześniówek tuż, tuż. Schodzę w dół, ku południowi, nad fosę. Drogę zastępują gęste krzewy dzikiego bzu, ściana nie do przebrnięcia. Nagle - wyłom. Nie wiem czy w zielonych chaszczach, czy w wyobraźni. Łąduję w pustej, ciemnej przestrzeni zamkniętej od góry wygiętymi w sklepienie gałęziami bzu, pomieszanego z leszczyną. Jakbym wyszedł z dnia, wszedł w noc. Z nieba do piekła, z Dantem pod rękę. Pod stopami całe dywany pełzających i spadających ze wzgórz ślimaków. Stąпам ostrożnie, jakbym chciał zasłużyć na rozgrzeszenie. Odwracam głowę: Łąkie. Rzędy drzew z oplecionymi całą lichenologią świata pniami. Kładę się w wysokiej trawie na obrzeżach Mirocina Dolnego, po twarzy pełzają patyczaki, skaczą pasikoniki. Widzę je z bliska, jakbym wieszal na ścianie obraz Celnika Rousseau.

Moje postoje wyobraźni, tutejszej, lubuskiej, odnoszą się do tego, co już widziałem, już dotykałem, czego słuchałem, co czytałem. Jakbym znał topografię Trześniówka. Nie obawiam się o sens. Pomaga mi Malraux: „Za moimi plecami rozpościera się Morze Śródziemne Homera, oliwki Wergiliusza, cmentarz, ludzie zarania ery atomowej i prawdziwego Muzeum Wyobraźni, tego, które nie istnieje – podobnie jak ongiś przede mną rozpościerała się nawiedzona przez duchy grota Elefanty, gdzie Absolut dumal wśród postaci wyzwolonych od przemijalności i od złydy”.

No i odzywa się wreszcie pełnym głosem Fedorowicz. Chciałoby się powiedzieć... którego nie ma, jeśli wierzyć jego literackiej imaginacji, że Trześniówek to tylko punkt na mapie; nie istnieje, jak prawdziwe Muzeum Wyobraźni. Wyobraźnia Fedorowicza powołuje nierozpoznane przestrzenie, których nie da się wprost konfrontować z topograficzną rzeczywistością. Ale jeśli już przyzwolimy na śmierć autora, wszak to tylko kategoria literacka, to otrzymamy skarb: magiczne słowa jego prozy, które uruchamiają żywą, zakorzenioną legendę Śląska, i żeby wszystko było przejrzyste, dodajmy Lubuskiego, legendę

skonfrontowaną przez konotacje z kulturą europejską - najbliżej: niemiecką i francuską.

Nie fascynowałbym się kategorią Muzeum Wyobraźni gdybym wcześniej albo później, najlepiej równoległe nie sięgnął po *Imiona własne*. Po odłożeniu tej książki świat tutejszy, miejscowy, lubuski - nie był już taki sam. Wszędzie, pod każdą miedzą wietrzyłem atak archetypów, zewsząd czułem woń legendy. Jak Malraux otworzył Muzeum Wyobraźni, tak Fedorowicz rozpostarł Stronę Trześniówka. Gdzie to jest? Pytałem. Tutaj - odpowiadał uwolniony przez autora z więzienia wyobraźni przewodnik. Odpowiedź prawdziwa: w każdym miejscu na świecie. Tutaj Fedorowicza, Strona Trześniówka, rozlewa się po mapie, w wyobraźni, w zmysłach, wokół Jeziora Trześniowskiego, schodzi wraz z bukowymi lasami ze wzgórz od północy na południe, od wschodu do zachodu Śląska Lubuskiego. Kim więc naprawdę jest autor? W jaką grę nas wciąga? – pytam z lękiem, po doświadczeniach z Muzeum Wyobraźni. „Autor proponuje podróż w przestrzeni, którą przenika legenda i mit. Przyjmuje rolę etymologa poszukującego genezy nazw i próbującego odtworzyć ich rozwój, etnografa ocalającego pozostałości dawnych obyczajów i legend, wreszcie przyrodnika i geografa zainteresowanego bogactwem i zróżnicowaniem opisywanych krajoobrazów” – odpowiada Jan Błoński.

Nie André Malraux jest przewodnikiem Fedorowicza. Imion własnych, owego tutaj, na wschód od Odry, szuka podróżując z Marcellem Proustem. Mam wrażenie, że to ta sama marszruta, to samo Muzeum Wyobraźni - Śródziemnomorskie, Eliotowskie, Audenowskie i Miłoszowe. I dlatego Strona Trześniówka, nasze tutaj, wpisuje się uniwersalnie w najszlachetniejsze rewiry europejskiej wyobraźni. Nawet jeśli brzmi to nieco nazbyt patetycznie. Fedorowicz inspiruje do odwiedzania własnego Muzeum Wyobraźni, wskazuje jak pozyskiwać „energię” żeby stanąć na bastionie swojego, wyobraźnionego zamku i szukać za najbliższym horyzontem własnego zakola rzeki, gdzieś... tutaj.

Podróżuję z *Imionami własnymi* Krzysztofa Fedorowicza. On wyobraża za mnie;

otwieram Stronę Trześniówka: „Jest coś indywidualnego w miejscowościach, i aby zaspokoić żądę ujrzenia jakiejś konkretnej osady, nie wystarczy znaleźć przypadkowo, w innym miejscu, elementy jej krajobrazu; strony Guermantes jednak nie przywołają tak piękne lilie, jakie rosły nad Vivonne, a okolice Méséglise wspaniałe bzy. Jednocześnie nazwy - dające indywidualność miastom i rzekom, zaludniające cudownością świat fizyczny, nazwy, co zawierają w sobie idee czy obrazy „Niepoznawalnego, któreśmy w nich pomieszcili” – przyprowadzają często o gorzkie rozczarowania. Te następują wtedy, gdy istniejący w nas obraz danego miejsca konfrontujemy z rzeczywistością, kiedy okazuje się, że realne miejsce, występujące dotąd pod magicznym imieniem, nie ma w sobie nic z tej duszy, jaką z nim identyfikowaliśmy. „Wróżka ginie, kiedy zbliżamy się do rzeczywistej osoby”.

Jednak Strona Trześniówka pozostanie w tej formie, w jakiej zrodziła się w wyobraźni. Nie ma bowiem tutaj miejsca na konfrontację, skoro trudno z całą pewnością stwierdzić, że ten obraz istnieje. Sam Trześniówek... Owszem są jakieś ruiny, ruiny jednak nie są jasno określone, wylanie fundamentów nie decyduje jeszcze o ostatecznym kształcie domu. Strona Trześniówka zrodziła się w wyobraźni i – dotąd nie poznana i chyba bez szans, aby kiedyś zostać poznana – wciąż tę wyobraźnię buduje. Trześniówek jako metafora może całego obszaru Ziemi Torzymskiej, albo i Śląska, jakby zaprzecza destrukcji, w jakiej się przejawia... Jakaś wspaniałość i niesamowitość przewyższają ruiny i zgłiszczą, zamiast zniszczonej wsi jawi się przestrzeń monumentalna i jasna, może nawet – o klasycznych porcjach.

porcjach. Aleja potężnych i smukłych lip o wspaniałych koronach, w zasadzie gaj, mogłaby posłużyć Grekom jako wzór świątyni. Paradoksalnie, Trześniówek jest niby średniowieczny kościół. Jest może tym bardziej miejscem idealnym, oderwanym, prawie nie-realnym, że na współczesnych mapach nie został określony, i nie ma go w aktualnych spisach miejscowości i indeksach na końcu atlasów – i jest tym bardziej taki, że w archiwach przejawia się w tylu pojemnych nazwach...

Barwy, jakie jawią się, kiedy patrzymy na zachód z okna pociągu jadącego z Łagowa przez Boryszyn, albo na południe z pociągu z Międzyrzecza przez Templewo i Trzemeszno, odpowiadają wnętrzu kościoła Wniebowzięcia NMP w Żaganii. Nawy, prezbiterium i sklepienia tej świątyni rozświetla obraz w jednym z bocznych ołtarzy, ołtarzu Chrystusa w Ogrójcu, płótno Michała Willmana, który zastosował głębokie kolory. Żółć i pomarańcz zachodu słońca obejmują całą świątynię i chyba najlepiej skupiają się na płótnie w ołtarzu głównym, i w ogóle w całym prezbiterium.

Jasność i sugestywność ukrytej w mroku postaci, a jednocześnie migotliwość tła – te cechy decydują zapewne o sile czy mocy dzieła, co rozświetla cały gotycki kościół. Obraz rozświetla świątynię, ale wędrowiec czuje jakoś przez skórę, że to światło przynależy temu miejscu od początku, pojawiło się, zanim wprowadzono do świątyni barokowe płótno w bogatej rokokowej ramie. Kościół, tak jak strona Trześniówka i kraina bukowych jezior, jest zanurzony w świetle, o którym pisze Marcel Proust, że wylania się „z owej sylaby *antes*”.

